

Ewa Martynkien

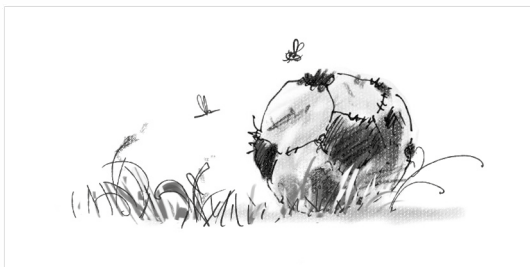
MOJ KUMPEL
JEREMI

Ewa Martynkien

MÓJ KUMPEL JEREMI



Piegus



– No podaj! – krzyknąłem do mojego najlepszego kumpla Jeremiego. – Dawaj!

Dziś rano w parku obok placu zabaw znaleźliśmy dziurawą piłkę i graliśmy nią przez cały dzień. Stara futbolówka z wielką dziurą, bez powietrza, choć już dawno straciła swoje krągłe kształty, okazała się zupełnie fajną zabawką. Od kilku godzin dostarczała nam niesłychanie dużo frajdy.

– Masz! – wrzasnął Jeremi i kopnął piłkę wysoko w górę.

Patrzyłem, jak wystrzępiony, podarty kulisty zbitek wznosi się nad drzewami i po chwili, poddając się sile ciężenia, opada na ziemię. Był na wysokości ławek, gdzie rozsiedli się zwolennicy cienistych alejek, bo choć nadchodziła jesień, słońce grzało jeszcze niemal jak w środku

upalnego lata. Moja koszulka była mokra od potu, a sól na wargach przypominała, że znów trzeba napić się wody.

– Dałeś czadu, stary! – Pobieglem w stronę, gdzie wydawało mi się, że piłka musiała upaść.

Jeremi zatrzymał się w połowie drogi, odgarnął włosy z czoła. Postanowił nie ścinać ich w czasie wakacji i teraz jego jasna grzywka sięgająca policzka spadała mu na oczy za każdym razem, gdy wykonywał zbyt gwałtowne ruchy. Najwyraźniej nie chciało mu się już grać albo coś zupełnie innego przyszło mu do głowy, bo stał na środku trawnika, nie kwapiąc się, żeby mi pomóc.

– Zostaw! – zawołał. – Mamy fajniejsze rzeczy do roboty!

– Poczekaj! – Nie zrozumiałem, co miał na myśli. Nie mogłem sobie przypomnieć, żebyśmy się na coś umawiali. Cały dzień spędziliśmy w parku i naprawdę świetnie się bawiliśmy.

– Chodź! Daj sobie spokój z tym flakiem! – Jeremi zrobił w tył zwrot i ruszył przed siebie, nie oglądając się na mnie.

Odkąd pamiętam, a znaliśmy się od przedszkola, taki właśnie był – lubił czasem chodzić własnymi drogami. Zdarzało się, że zupełnie nieoczekiwanie wpadał na jakiś



pomysł i biegł, nie mówiąc mi, o co chodzi. Ktoś, kto nie znał dłużej Jeremiego, mógłby uznać, że jest po prostu zarozumiały albo niezbyt towarzyski.

– Zaraz się znajdzie! – krzyknąłem za nim.

Pomyślałem, że piłka jest fajna i moglibyśmy zarekwirować ją na zawsze. Super się odbijało takim kapciem i może jeszcze kiedyś ją wykorzystamy.

– Tego szukasz? – usłyszałem nad głową.

Wygramoliłem się spod ławki. Przede mną stało trzech wyrostków. Jeden z nich, ten najwyższy w czerwonej czapce z daszkiem, trzymał w ręku naszą piłkę. Dwóch pozostałych patrzyło na mnie z niechęcią. Byli przynajmniej ze dwie głowy wyżsi ode mnie. Włosy ułożone na żel, nieskalanie czyste buty w typie sportowym

i markowe bluzy. Wyglądali jak bliźniacy w tych swoich dresach. Nie sprawiali sympatycznego wrażenia i wolałem nie wdawać się z nimi w dyskusję.

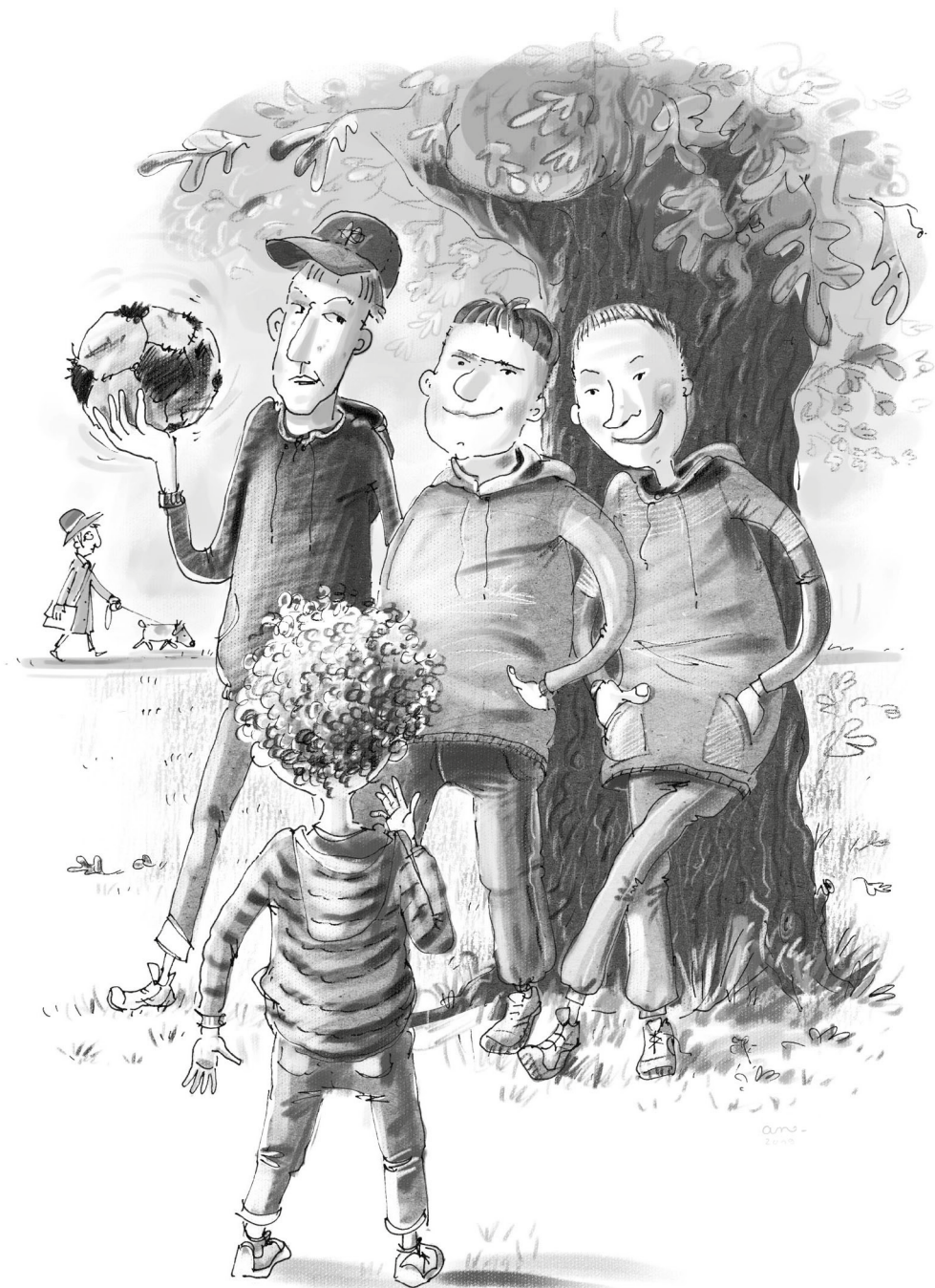
– No! Dzięki! – Chciałem wziąć czym prędzej piłkę i sobie pójść, ale dryblas w czapce pozwolił mi jej dotknąć, a następnie cofnął ręce. Cała trójka wybuchła śmiechem.

– Nie tak szybko! Dostałem tym flakiem w głowę, więc musisz mnie przeprosić. – Chłopak splunął mi pod nogi i gdybym nie zdążył się przesunąć, jego ślina znalazłaby się pewnie na moim bucie.

Koledzy znów zarechotali chórem.

Byłem pewien, że stroili sobie ze mnie żarty, że piłka nikogo nie trafiła, spadła sobie beztrzesko na trawnik i potoczyła się pod ławkę. Jeślibym teraz go przeprosił, pewnie śmialiby się ze mnie do rozpuku. Co, jeślibym tego nie zrobił? Może nie odzyskałbym piłki. Nie zamierzałem odpuścić, bo futbolówka była nasza i nawet jeśli już trochę wysłużona, i nie przypominała piłki, to my ją znaleźliśmy.

– No, piegusie! Przeproś! – Wyrstek z piłką wyraźnie tracił cierpliwość.



Faktycznie, moja twarz jest cała w piegach. Miałem je od zawsze, a latem przybywa ich wraz z ilością czasu spędzonego na świeżym powietrzu i słońcu. Nic na to nie mogę poradzić. Zdążyłem się do nich przyzwyczaić, jak do swoich ciemnobrązowych, kręconych włosów i jasnej karnacji. Są i już. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

Ostatni raz w pierwszej czy drugiej klasie Tymek nazywał mnie piegowatym koczokodanem i zaczęliśmy się przepychać. Wtedy pan Krzysztof, nasz wychowawca, rozdzielił nas i całej klasie opowiedział historię o tym, jak będąc pięcio- czy sześciolatkiem spędzał wakacje w gospodarstwie swoich dziadków. Była tam gęś, która bardzo lubiła za nim chodzić. Wkrótce stali się nierozłączni i pan Krzysztof nadał jej imię Emma. Chodziła z nim po mleko do sąsiedniego gospodarstwa i do kiosku po gazetę dla dziadka, nad staw i do lasu, i po jagody.

Pewnego dnia Emmie wykluły się małe gąski. Była niezmiernie szczęśliwa, troskliwie się nimi opiekowała, a kiedy trochę podrosły, dumnie spacerowała z maluchami po podwórku. Niestety którejs nocy do komórki, gdzie nocowały gęsi, zakradł się lis i zadusił maluchy. Emma była w rozpacz, bardzo, ale to bardzo za nimi tęskniła. Nikt nie wiedział, co zrobić, by ją pocieszyć. Przesta-

ła jeść i gęgać na kury i indyki, jak to miała wcześniej w zwyczaju. Siedziała smutna w cieniu jabłoni i tylko na noc wracała do komórki.

Pewnego dnia Emma zniknęła i choć szukali jej do wieczora, przepadła jak kamień w wodę. Pan Krzysztof znalazł ją dopiero po dwóch dniach za stodołą sąsiada. Emma za żadne skarby nie chciała się stamtąd ruszyć. Okazało się, że ktoś podrzucił tam maleńkie kocięta i Emma zaopiekowała się nimi. Spały wtulone w jej ciepły puch. Została więc ich mamą i opiekowała się nimi tak długo, aż podrosły i stały się samodzielne.

– Różnorodność – tłumaczył nam pan Krzysztof – panuje wszędzie – wśród zwierząt, roślin i ludzi. Tylko od nas zależy, co z tym zrobimy.

Od tamtego czasu nikt mnie już nie przezywał. Aż do dzisiaj.

Nim zdążyłem zastanowić się, co odpowiedzieć dryblasowi, nadbiegł Jeremi. Chyba wyczuł, o co chodzi, bo od razu zbliżył się do chłopaka w czapce i wyrwał mu energicznie piłkę.

– Przepraszamy. Nie chcieliśmy – wycedził naprędce i odwrócił się na pięcie, rzucając do mnie: – Wiejemy!

Gnaliśmy przez trawniki, nie zważając na wylegujących się spacerowiczów, którzy prażyli się na kocach bądź

piknikowali w cieniu. Nie wiem, ile butelek z wodą przewróciłem i ile kanapek rozgniotłem, próbując je przeskoczyć. Tamci biegli za nami i niewiele brakowało, żeby nas dogonili. Obaj wiedzieliśmy, że musimy jak najszybciej znaleźć się nad stawem, gdzie znajdowała się nasza tajna baza. Aby czym prędzej dopaść krzewów, przy brzegu przebiegliśmy skrótem koło kiosku, w którym niedawno ktoś zaczął sprzedawać przekąski i napoje. Schowaliśmy się za jedną ze ścian i poczekaliśmy, aż nas miną, a potem wróciliśmy na drogę, wpadliśmy w gęstwinę i przedzierając się przez chaszcze, dotarliśmy do naszej kryjówki. Nie było mowy, żeby nas tutaj znaleźli.

Rok temu na początku lata wybudowaliśmy z gałęzi szałas. Był świetnie ukryty w samym środku zarośli, żeby nikt nie mógł nas znaleźć. Podłóże wyściełaliśmy suchymi liśćmi, po pierwsze, żeby można było usiąść, a po drugie, ponieważ w ziemi wykopaliśmy dół, a w nim trzymaliśmy trochę niezbędnych rzeczy na wypadek, gdyby trzeba było podreperować szałas: sznurek, stary tępy scyzoryk, kamień, który służył nam za młotek, i – nie wiedzieć po co – trochę zardzewiałych gwoździ. Mieliśmy więc bazę i własną flagę, którą uszyła nam moja babcia Marysia. Naszyła na niej pierwsze litery naszych imion

„OJ”. „O” jak Oskar i „J” jak Jeremi. Byliśmy więc drużyną „OJ”.

– O mały włos! – Jeremi rzucił się zdyszany na ściółkę z suchych liści i trawy, a flakowatą piłkę podłożył sobie pod głowę.

Nie mogłem złapać oddechu.

– Mogliśmy nieźle oberwać. – Padłem obok.



Leżeliśmy w milczeniu, próbując ochłonać. Szum gałęzi i odgłosy ptaków pomagały zebrać myśli. Jeremi wyjął po chwili piłkę spod głowy i przyglądał się jej z uznaniem.

– Fajna nawet. Faktycznie jeszcze nam się przyda. – Jej opłakany stan zdawał się mu teraz w ogóle nie przeszkadzać.

– Chciałem ich jakoś sprytnie podejść – wróciłem do wydarzeń w parku – żeby sami ją oddali.

– Czeakałbyś do jutra. – Jeremi rzucił piłkę w moją stronę. Zrobił to zbyt gwałtownie i nie zdążyłem jej chwycić. Potoczyła się do wyjścia.

– Ale przynajmniej nie narażalibyśmy życia – zauważyłem praktycznie i podniosłem naszą zdobycz.

– No coś ty, ci dwaj bez czapek to moi sąsiedzi z klatki. Chcieli nas tylko postraszyć – oznajmił Jeremi, całkiem obojętnie patrząc w dziurę przy wierzchołku szalasu.

– Bujasz! – Spojrzałem na niego zaskoczony, ale Jeremi pokręcił głową i po chwili łypnął na mnie rozbawiony.

Zanieśliśmy się śmiechem.

To był ostatni dzień wakacji. Przez szpary pomiędzy gałęziami, z których zrobiliśmy szałas, przenikały promienie słońca i tworzyły fikuśne wzory na ścianie naszej

kryjówki, o której z siedmiu miliardów ludzi na Ziemi wiedzieliśmy tylko my dwaj i nikt więcej.

Następnego dnia zaczęła się szkoła. Szliśmy do czwartej klasy. Wszystko miało być inaczej niż dotąd: przedmioty, nauczyciele, chłopaki ze starszych klas, których do tej pory nie spotykaliśmy zbyt często, bo uczyliśmy się w innym budynku, mieliśmy też własny plac zabaw i małe boisko. W sumie to nawet się cieszyłem, że skończyliśmy trzecią klasę. Czułem się bardziej dorosły i bardziej ważny, aczkolwiek towarzyszył mi niepokój, jak zwykle, gdy coś było mi nieznane.

Ponad wszystko bałem się o naszą przyjaźń, bardzo nie chciałem, by coś się zmieniło, by coś, co mogłoby nas rozdzielić, stanęło nam na drodze. Jeremi był najfajniejszym kumplem na świecie i za żadne skarby nie chciałem go stracić.

Fragment książki

Mój kumpel Jeremi

napisała: Ewa Martynkien

okładka i ilustracje: Artur Nowicki

Wydawnictwo Literatura

www.wydawnictwoliteratura.pl

Książka wpisana na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

